

JOE ALEX

JESTES
TYLKO

DIABŁEM

Joe Alex

JESTEŚ TYLKO DIABŁEM

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-24-3

© Copyright by The Estate of Maciej Słomczyński (2022)

© Copyright for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

Projekt okładki: Olga Bołdok

MERLIN

Wstrzymaj się, czarny niewolniku nocy!

DIABEL

Zmiażdżę cię, nędzny! Śmierć tu znajdziesz swoją...

MERLIN

Za mało sił masz, jesteś tylko Diabłem.
Odrzuć kształt ludzki i oddal się, pełznąć
Na brzuchu twoim cętkowanym, wężu!
Siła mych zaklęć rządzi nawet piekłem.
Ty pierwszy poznasz moc ich...

(Grzmot i błyskawica nad skalami. Tenibrarum princeps, deviatiarum & infirorum Deus, hunc Incubum in ignis eterni abisum accipite, aut in hoc carcere tenebroso in sempeternum astringere mando. Skala pochłania go.)

Narodziny Merlina – akt V, scena 1.

Sztuka napisana i grana prawdopodobnie w roku 1612. Pierwsze wydanie in quarto opatrzone nagłówkiem: „Napisana przez Williama Shakespeare’a i Williama Rowleya”.

SPIS TREŚCI

- I. DIABEŁ PO RAZ PIERWSZY
- II. DIABEŁ PO RAZ DRUGI
- III. POWIEDZ, ŻE POJECHAŁEM DO DIABŁA
- IV. DROGA DO PIEKIEŁ
- V. DZIEŃ DOBRY, DIABLE!
- VI. JOE ALEX ZACZYNA ROZUMIEĆ
- VII. ZNAM TYLKO JEDNĄ TAKĄ OSOBĘ
- VIII. HRABSTWO UDRĘCZONE CZAROWNICAMI
- IX. MALARZ I SPRINTERKA
- X. DWA DOKUMENTY
- XI. SPACER PRZED BURZĄ
- XII. ŁAGODNE, SPOKOJNE WĘŻE
- XIII. MR COTTON ODSŁANIA PRZYŁBICĘ
- XIV. DAJ MI GO, CZARNY DUCHU!...
- XV. PORANEK PRZED BURZĄ
- XVI. TATUSIU! TATUSIU!!! TATUSIUUU!!!...
- XVII. OBŁAWA NA TEGO, KTÓREGO NIE BYŁO
- XVIII. CZEGO TY CHCESZ ODE MNIE, CZŁOWIEKU?
- XIX. TEN WĄŻ PRZY NIM LEŻY
- XX. LOKAJ – KUCHARKA – POKOJÓWKA – GDZIE OGRODNIK
- XXI. PIEŁĘGNIARKA – DOKTOR
- XXII. DIABEŁ NAMALOWANY
- XXIII. TYLKO O JEDNEGO FUNTA
- XXIV. DRZAZGA, BEN, NAJWAŻNIEJSZA DRZAZGA W HISTORII
KRYMINALISTYKI!
- XXV. CO NAJMNIJ – DWA PRZEDMIOTY
- XXVI. ALE JAK TO W OGÓLE BYŁO MOŻLIWE?

I. DIABEŁ PO RAZ PIERWSZY

Kątem oka Joe Alex dostrzegł stojącego w drzwiach nieruchomego Higginsa, który chrząknął cicho. W tej samej chwili doktor Yamamoto uniósł nóż i skoczył lekko ku przodowi.

Joe wykonał błyskawiczny unik i równocześnie spróbował uchwycić uzbrojoną rękę. Dotknął nawet palcami jej przegubu, ale nie zdążył. Dłoń wykonała mały, prawie niedostrzegalny ruch i nóż uderzył w pierś na wysokości serca. Rozległ się cichy, suchy trzask.

– To jest absolutnie beznadziejne! – Joe usiadł na twardym, włosianym materacu, obitym ciemną skórą i zajmującym całą powierzchnię pokoju zupełnie pozbawionego mebli. Oddychał ciężko. – Nigdy tego nie zrozumiem! – Nagim przedramieniem otarł pot z czoła. – Odbiera mi pan całą radość życia, doktorze. Nauczył mnie pan wszystkich sposobów obrony, żeby w końcu pokazać mi, że można mnie zawsze trafić jak dziecko...

– Kiedy uczeń prześcignie nauczyciela, nauczyciel powinien wrócić do szkoły. – Japończyk rozłożył ręce, jak gdyby pragnął przeprosić gospodarza za to, że nie może dać się pokonać. – Ale rozumiem pana doskonale. To są oczywiście problemy naszej ambicji. Chociaż celem człowieka jest doskonałość, osiągamy ją zwykle na bardzo wąskim odcinku, jeżeli osiągamy ją w ogóle. Ja na przykład nie umiałbym przecież napisać ani jednego rozdziału którejkolwiek z pańskich, tak licznych i tak zajmujących, powieści... – Skłonił się lekko przy ostatnich słowach. I chociaż ubrany był tylko w obcisłe jedwabne spodenki, ukłon był tak formalny, jak gdyby sztywny gors koszuli frakowej przeszkodził mu w płynnym wykonaniu tego ruchu. – Robi pan wielkie postępy – dodał po krótkim namyśle. – Z całą skromnością – bo przecież jestem pańskim instruktorem – mogę powiedzieć, że potrafi pan uniknąć nawet niespodziewanego uderzenia nożem i obezwładnić każdego człowieka, który spróbuje strzelić do pana z bliska. Myślę oczywiście o zwykłych ludziach, jeżeli wolno nazywać zwykłymi ludźmi tych, którzy używają noża i pistoletu. Istnieje na świecie duża grupa specjalistów (a do nich zaliczam i moją skromną osobę), którzy zawsze pana wyprzedzą. Ale, o ile wiem, żaden z tych ludzi nie zajmuje się atakowaniem niewinnych przechodniów... – Palcami lewej ręki wyciągnął obite miękką irchą ostrze ćwiczebnego noża, które po uderzeniu wsunęło się w wydrążony trzonek, składając się jak luneta. – Czy spróbujemy raz jeszcze?

Stojący w drzwiach Higgins poruszył się prawie niedostrzegalnie i chrząknął po raz drugi. Joe spojrział w jego kierunku.

– Co takiego, Higgins?

– Przed chwilą przyjąłem telefon dla pana, proszę pana.

Joe uniósł brwi.

– Jak to? Przecież mówiłem, że nie ma mnie dla nikogo?

– Tak jest, proszę pana... – Higgins zawahał się na mgnienie oka. – Oczywiście nie powiedziałem, że pan jest w domu. Ale pozwoliłem sobie pomyśleć, że może lepiej będzie zawiadomić pana, kto dzwoni. Przy aparacie czeka sir Alexander Gilburne. Powiedział, że nie zna pana osobiście, a ponieważ dodał, że ma bardzo ważną, osobistą sprawę, więc pomyślałem, że być może sam pan zechce zdecydować, czy jest pan w domu, czy pana nie ma. – Znowu chrząknął i zamilkł.

– Gilburne? – powiedział Alex. – Chyba nie ten prawnik? Ale zdaje mi się, że to on ma właśnie na imię Alexander?

– Tak, proszę pana. Ten wielki obrońca. Właśnie dlatego, że jest to osoba tak poważna, pozwoliłem sobie... Czy mam odpowiedzieć, że pana nie ma?

Joe spojrział na Higginsa z cichą satysfakcją, którą odczuwał co dnia od chwili, gdy szczupły, cichy, siwiejący służący rozpoczął rządy w jego domu. Higgins był absolutnie

bezbłędny, tak bezbłędny, że wywoływał poczucie niższości. Poza tym posiadał zdumiewająco wielkie wykształcenie. Joe potrząsnął głową.

– Nie. Myślę, że chyba powinienem z nim porozmawiać. – Spojrzył w kierunku Yamamoto. – Muszę pana przeprosić na chwileczkę, doktorze. O ile wiem, pan Gilburne nie należy do ludzi, którzy niepokoją innych dla błahostek. – Podeszedł do ściany i zdjął z wieszaka szlafrok, który narzucił na ramiona. – Ciekawe, czego ten człowiek może chcieć ode mnie?

Pytanie to, na które ze zrozumiałych względów nie odpowiedział żaden z obu obecnych w pokoju mężczyzn, zgasło bez echa między grubymi ochronnymi matami, przytwierdzonymi do ścian. Alex zatrzymał się w drzwiach.

– Może szklankę soku, doktorze? Na pewno zdąży pan wypić, zanim wrócę.

Doktor poważnie skinął głową. Higgins uniósł oczy ku górze i skłonił się lekko.

– Z lodem czy bez lodu, proszę pana? – Twarz jego nie zmieniła wyrazu, ale Joe przestępując próg uśmiechnął się lekko. Widać było, że ani tytuł doktorski, ani nienaganne maniery Japończyka nie są w stanie przekonać Higginsa o pozycji towarzyskiej tego gościa.

– Bez lodu, jeśli łaska – powiedział Yamamoto, stając równocześnie na rękach. Powoli, bez najmniejszego wysiłku zaczął obchodzić w ten sposób pokój. Higgins cicho zamknął drzwi za sobą.

Tymczasem Joe podeszedł do telefonu, stojącego na wieku starej skrzyni w hallu.

– Słucham? Alex przy aparacie.

– Nazywam się Gilburne – zabrzmiał po drugiej stronie przewodu niski, pięknie modulowany głos. Potem nastąpiła krótka, ledwie uchwytna pauza, jak gdyby mówiący spodziewał się, że po wymienieniu swojego nazwiska usłyszy coś, co potwierdzi, że jest ono znane Alexowi. Lecz Alex milczał, a pauza była tak krótka, że nie miało to prawie żadnego znaczenia. – Muszę pana przede wszystkim przeprosić za to, że niepokoję o tak wczesnej porze bez listownego uprzedzenia. Ale wypadki, które... – Znowu nastąpiła pauza. – Czy nie przeszkadzam panu w tej chwili?

– Absolutnie nie. Nie jestem zajęty teraz. Czym mogę panu służyć?

– Otóż, gdyby nie sprawiało to panu zbytniego kłopotu i gdyby pan uwierzył, że moje natręctwo jest podyktowane naprawdę ważnym powodem, chciałbym pana prosić o pół godziny rozmowy w pewnej bardzo dla mnie ważnej sprawie. Naturalnie, powtarzam, jeśli...

– Rozumiem – powiedział Joe, chociaż na razie rozumiał tylko, że będzie musiał spędzić część tego upalnego dnia inaczej, niż to sobie zaplanował. – Czy zechciałby pan wpaść do mnie za godzinę, jeżeli to panu dogadza?

– Nawet bardzo. Im prędzej, tym... – Znowu urwał. – Jeżeli nie będzie pan miał nic przeciwko temu, przyprowadzę jeszcze jednego człowieka, tak jak i ja zainteresowanego przedmiotem mojej rozmowy z panem.

Joe raz jeszcze odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu, sir Alexander raz jeszcze przeprosił za natręctwo i odwiesił słuchawkę.

Przez chwilę Alex stał nieruchomo, spoglądając na niemy aparat telefoniczny. Pomimo gładkiej wymiany konwencjonalnych zdań wyczuł w głosie Gilburne'a nutkę starannie maskowanego napięcia.

Gilburne był od wielu lat jedną z najjaśniejszych gwiazd londyńskiej palestry. Uchodził za najwybitniejszego obrońcę w sprawach kryminalnych i do dnia, w którym zniesiono karę śmierci w Zjednoczonym Królestwie, uratował od stryczka tak wielu ludzi, którym wydawało się, że czują już dotyk sznura na szyi – że świat przestępczy nadał mu przydomek „Pogotowie Ratunkowe”. Mimo to wszyscy wiedzieli, że Gilburne nie przyjmował obrony zbrodniarzy, którzy w jego przekonaniu zasługiwali na najwyższy wymiar kary. Chociaż pozornie stali na przeciwnych biegunach, gdyż jeden z nich tropił, a drugi bronił przestępców, Joe chciał od dawna poznać tego niecodziennego człowieka, o którego inteligencji i darze logicznego

wnioskowania słyszał bardzo wiele. Ale los nigdy dotąd nie skrzyżował ich ścieżek. Czego mógł chcieć w tej chwili? Najprostszym rozwiązaniem, które się nasuwało, mogła być prośba o pomoc w jednej ze spraw prowadzonych przez Gilburne'a. Może okoliczności były zbyt powikłane, a sir Alexander mając przekonanie o niewinności swego klienta chciał go ratować za wszelką cenę i nie mógł sam sobie dać rady? Ale w głosie, który Alex słyszał przed chwilą, było napięcie, spowodowane chyba jakimś osobistym przeżyciem.

– Och, dowiemy się przecież wszystkiego za godzinę! – mruknął Joe i uśmiechnął się do siebie.

Powrócił do pokoju gimnastycznego zamyślony, a w głębi duszy nawet trochę zły. Lubił uważać się za człowieka, którego niczym nie można naprawdę zaintrygować. Lecz ten telefon niósł zapowiedź ciekawego spotkania. Taki człowiek jak Gilburne nie przyjdzie opowiedzieć o jakimś nic nie znaczącym drobiazgu. Sprawa na pewno była poważna. Ale właśnie w tym czasie Joe Alex marzył, żeby nic poważnego nie pojawiło się na jego drodze. Miał do załatwienia zbyt wiele osobistych spraw, zupełnie nie związanych ze światem zbrodni.

Doktor Yamamoto siedział na macie i podwinąwszy wschodnim zwyczajem nogi popijał małymi łykami sok owocowy.

– Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, doktorze, jeżeli zakończymy na tym nasze dzisiejsze ćwiczenia? Spodziewam się ważnych odwiedzin. Zresztą nasze dwie godziny już chyba minęły, prawda?

Yamamoto wstał, odstawił szklankę na parapet okna i spojrzął na leżący tam staromodny kieszonkowy zegarek.

– Brakuje jeszcze dwunastu minut – powiedział – ale odrobimy to w czasie następnej lekcji. Wspomniał pan, zdaje się, wczoraj, że chce pan zrobić tydzień przerwy, prawda?

– Tak – Joe skinął głową. – Mam zobowiązania wobec mojego wydawcy i będę musiał spędzić kilka najbliższych dni przy biurku. A później chciałbym wyjechać za granicę na następnych kilka dni, jeżeli okoliczności będą mi sprzyjały.

– To dobrze – Japończyk skinął głową. – Ja też myślę, że powinniśmy zrobić teraz trochę dłuższą przerwę. Boję się u pana tego, co sportowcy nazywają przetrenowaniem. Proponuję, żebyśmy naznaczyli sobie następne spotkanie nie za tydzień, ale za dwa tygodnie.

Rozmawiając o dalszych stopniach wtajemniczenia w arkana sztuki samoobrony, ruszyli w stronę łazienki, która zaopatrzona była w dwie przegrody prysznicowe. Alex odkręcił kran i weszli pod mocne strumienie na przemian zimnej i gorącej wody.

– Tak! – zawołał Yamamoto, przekrzykując szum prysznicy. – Już nawet teraz nie musi się pan obawiać nikogo! Ale czy w rzeczywistości musiał się pan kogokolwiek obawiać? Przecież bohaterowie kryminalnych powieści nie wstają z kart książek i nie rzucają się na autora!

– Na pewno – mruknął Joe, trąc ramiona szorstką włochatą rękawicą. – Ale bywa i tak, że najpierw spotykam moich bohaterów w życiu, a potem dopiero wsuwam ich bezpiecznie między okładki.

Japończyk wyszedł spod prysznicy i otrząsając się sięgnął po prześcieradło kąpielowe.

– Mówiono mi o tym, ale nie wiem, ile jest prawdy w tym, co o panu opowiadają. Prowadząc moją skromną szkołę, mam kontakt z policją i różnymi zdumiewającymi ludźmi. Wiele mówi się o panu w niektórych kołach.

– Im więcej, tym lepiej! – Joe roześmiał się, zakręcił wodę i zaczął się wycierać szorstkim, bladezielonym ręcznikiem, mile łaskoczącym skórę. – To bardzo przyjemne, kiedy o nas mówią. Wszyscy jesteśmy próżni na swój sposób, prawda? Nawet wtedy, kiedy szalenie nie lubimy naszej pracy. Ja na przykład nie napisałbym w życiu ani jednej strony kryminalnej powieści, gdybym miał inne źródło dochodu.

– Byłaby to wielka strata dla miłośników tego rodzaju lektury – Japończyk skłonił lekko swoją krótko ostrzyżoną czuprynę – ale nie myślałem o pańskich powieściach. Myślałem o pana wyjątkowym talencie, który oddał pan na usługi policji. Zdaje się, że należy pan do ludzi tego rodzaju, który najbardziej szanujemy u nas na Wschodzie: do tych, którzy interesują się poszukiwaniem prawdy, bez względu na to, w jakim zawodzie los pozwolił im pracować. Kto szuka prawdy, płynie po świętej rzece. Proszę mi wybaczyć tę odrobinę kalendarzowej mądrości. Mówią, że jest pan w stanie rozwiązać każdą zagadkę kryminalną.

Joe znowu się roześmiał.

– Oczywiście, że mogę! – powiedział z rozbijającą szczerością. – Jak dotąd, rozwiązałem wszystkie. Może dlatego, że prawdziwi zbrodniarze są o wiele bardziej prymitywni niż ci, których można wymyślić. W fantazji autora powieści kryminalnych istnieje teoretycznie nieskończona ilość kombinacji i zbiegów okoliczności utrudniających rozwiązanie. Tymczasem życie zawęży natychmiast ramy zbrodni i spłyca zagadnienie, a błędy zabójcy stają się jego biletem wizytowym. Wystarczy wtedy wyeliminować kilka ewentualnych możliwości i zbrodniarz ukazuje się w pełnym blasku, jak manekin wieczorem na witrynie sklepowej. – Znowu się roześmiał. – Teraz prawdopodobnie doszedł pan do wniosku, że być może płynę po świętej rzece, ale wiatr próżności wzdyma moje żagle. Niestety nic na to nie mogę poradzić, że tak się układają dotąd moje stosunki ze światem zbrodni. Jestem przekonany, że nie ma mordercy, którego nie można odkryć.

Rozłożył ręce przepaszającym gestem, a potem wziął grzebień i zaczął przeczesać mokre włosy.

– A przecież... – powiedział doktor Yamamoto – istnieje możliwość... – Zastanowił się. – Zapomniałem, jak brzmi to określenie... W mojej ojczyźnie nie jest ono znane. Myślę o zbrodni... o zbrodni...

– Absolutnej?

– Właśnie! O zbrodni absolutnej. O ile wiem, jest to taka zbrodnia, której autor nie pozostawił żadnego punktu zaczepienia dla śledztwa, prawda?

– Tak. Ale taka zbrodnia jest niemożliwa. Musiałaby być popełniona przez człowieka posiadającego absolutne alibi i motyw zabójstwa, którego nie mógłby się domyślić ani odgadnąć nikt. A co najważniejsze, policja nie mogłaby ustalić, jak została popełniona ta zbrodnia. W przeciwnym wypadku pozostałby ślad, bo sposób popełnienia morderstwa jest sam w sobie bardzo interesującym śladem, który od razu eliminuje wielką ilość osób i obciąża niektóre. Zbrodnia absolutna byłaby z konieczności zbrodnią, która eliminuje wszystkich możliwych zabójców, co już w założeniu jest absurdem. Nie może przecież zaistnieć sytuacja, w której mord został popełniony i nikt go nie mógł popełnić.

– Przyznam się, że niedokładnie zrozumiałem pana. Czy mógłby pan podać jakiś przykład podobnej sytuacji?

Alex zastanowił się krótko.

– Podam panu najprostszy. Wyobraźmy sobie pokój, który posiada tylko jedno wejście, zamknięte od wewnątrz na klucz. Okna także są zamknięte, nigdzie nie ma najmniejszej szpary, tajemniczego przejścia. Tymczasem wewnątrz pokoju został zamordowany człowiek, powiedzmy, zastrzelony z bliska. Żeby uniknąć dodatkowych spekulacji wyobraźni dodajmy, że kilka osób usłyszało strzał i natychmiast zaczęło dobijać się do drzwi. To byłaby właśnie zbrodnia absolutna: trup w zamkniętym pokoju, do którego nikt nie mógł wejść ani z którego nikt nie mógł wyjść. – Urwał i narzucił szlafrok na zaczerwienioną skórę. – Bo tylko taka zbrodnia, której okoliczności eliminują wszystkich możliwych zabójców, musi wyeliminować wraz z nimi i mordercę. Na szczęście taką zbrodnię mógłby popełnić tylko Diabeł. Oczywiście, ludzie miewają czasem zupełnie niesłychane pomysły, próbując zgładzić któregoś ze swych bliźnich. Ale z zupełnie zrozumiałych powodów nie mają one wiele wspólnego ze zbrodnią absolutną. Ludzie nie mogą działać poza prawami czasu i

przestrzeni. Dlatego nie wierzę w zbrodnię absolutną, tak jak nie wierzę w Diabła, chociaż otaczam go pewnym szacunkiem. Literatura przekazała nam opowieści o paru diabłach, do których mam sentyment.

– Widzę, że wiele rozmyślał pan nad tym – uśmiechnął się doktor.

– Tak. Próbowalem kiedyś napisać książkę, w której mój detektyw poniósłby klęskę. Chciałem wymyślić taką zbrodnię, wobec której nawet najgenialniejszy mózg śledczy byłby zupełnie bezradny. I nie mogłem. Chciałem dać rozwiązanie przy pomocy listu samobójczego, napisanego przez zbrodniarza, który, powiedzmy sobie, był śmiertelnie chory na raka i postanowił wysłać przed śmiercią list do policji, wyjaśniający dokładnie, jak dokonał morderstwa. Niestety. Nic takiego nie da się wymyślić. Nikt nie napisał takiej książki i nikt jej nie napisze. Nie mówiąc już o życiu.

– Rozumiem. – Yamamoto pochylił głowę. – Problem ten przedstawia się mniej więcej tak, jak kwadratura koła.

– Właśnie. Muszę się panu przyznać, że kosztowało mnie to kilkanaście bezsennych nocy. Książka taka – byłaby czymś bez precedensu w historii powieści kryminalnych. Wreszcie doszedłem do wniosku, że bez pomocy nadprzyrodzonych sił takiej zbrodni popełnić się nie da. Więc pozostawiłem ją Diabłu i wyrzuciłem notatki.

*

Ale mylił się, bo w księdze jego życia już najbliższa karta zawierała spotkanie z Diabłem i ze zbrodnią absolutną.

Lecz o tym nie wiedział jeszcze nawet sam Diabeł.

Bo Diabeł nie wierzył w Joe Alexa, zupełnie tak samo, jak Joe Alex nie wierzył w Diabła.

II. DIABEŁ PO RAZ DRUGI

Pomimo zaciekawienia wywołanego telefonem Gilburne'a, Joe nie myślał, ubierając się, ani o nim, ani o mającej nastąpić wizycie, ale o swoich najbardziej osobistych sprawach, do których wkradał się ostatnio coraz bardziej rosnący chaos.

Upał za oknem rósł. W Grecji było na pewno jeszcze o wiele goręcej o tej porze roku. Ale w Grecji powietrze było inne niż w Londynie, przejrzyste, pachnące wodorostami południowego, ciepłego morza i przesycone nieuchwytną, suchą wonią, jaką dają rozgrzane słońcem skały. W Grecji była Karolina i grzebała w ziemi, gdzieś na Peloponezie, poszukując małych, pokrytych niezrozumiałymi znakami skorupki glinianych.

Wczesne pismo linearne Kreteńczyków, nie odcyfrowane dotąd i niezrozumiałe, leżące jak nieprzenikniona bariera pomiędzy współczesnością i dziejami tego dawnego ludu, wydawało się największą namiętnością w życiu tej ślicznej dziewczyny, która z kolei była największą namiętnością w życiu Joe Alexa.

Nie wiedział, czy Karolina go kocha. W Londynie byli zwykle nierozłączni, wszędzie widywano ich razem, wyjeżdżali razem i razem rozpinali swój czerwony jedwabny namiocik w Alpach, Norwegii, Portugalii i południowej Francji. Ale kiedy po jednym z powrotów do Londynu Joe zaczął mówić poważnie o małżeństwie, Karolina szybko i zdecydowanie zmieniła temat. Broniała swej niepodległości stanowczo, jak gdyby słowo „żona” wywoływało w niej lęk. Poza tym była chyba najlepszą z żon, chociaż mieszkała osobno i bywały okresy, kiedy nie widywał jej tygodniami. Działo się tak, gdy porywała ją praca. Zamykała się wtedy u siebie na klucz i wyłączała telefon, a jej stara gosposia, pani Downby, odpowiadała przez drzwi, że panienki nie ma w domu i nie wie, kiedy wróci. Bo Karolina Beacon, pomimo

swoich dwudziestu pięciu lat, była już prawdziwym uczonym, z którego zdaniem zaczęli liczyć się siwi specjaliści.

Alex odczuwał zimną, ale tym prawdziwszą nienawiść do dawnych Kreteńczyków i ich dziwacznej korespondencji. Działo się tak dlatego, gdyż on sam, chociaż był jednym z najbardziej znanych autorów kryminalnych i jednym z najwybitniejszych teoretyków kryminologii, przyjacielem i towarzyszem pracy asa Scotland Yardu, superintendenta Benjamin Parkera – wydawał się sam sobie groteskową postacią.

Przyczyna tego dziwnego stanu rzeczy była stosunkowo prosta: pisał powieści kryminalne, lecz ich nie znosił. Pisał je, bo dawały duży dochód, a poza tym – nie musiał robić niczego innego.

Będąc jeszcze nieomal chłopcem, wstąpił na początku wojny do lotnictwa, a potem, kiedy działania wojenne skończyły się, pozostał bezradny na londyńskim bruku z małą odprawą w kieszeni. Nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, postanowił zaryzykować i napisać powieść kryminalną. Napisał ją i zaniósł do wydawcy. Od tego dnia życie jego stało się jednym nieustającym pasmem sukcesów w tej dziedzinie. Dało mu to w rezultacie po paru latach spory majątek. Resztę spowodował zbieg okoliczności. Benjamin Parker, który w czasie wojny był członkiem załogi bombowca pilotowanego przez Alexa, odkrył przypadkowo jego olbrzymi talent śledczy, gdy obaj zostali kiedyś skonfrontowani z niesamowitymi okolicznościami towarzyszącymi śmierci ich wspólnego przyjaciela Iana Drummonda. Od tej pory Joe brał udział w wielu dochodzeniach Scotland Yardu i uzyskał prawdziwą sławę, rozwiązując, wyłącznie z pomocą stosowania prostej logiki, kilka problemów, wobec których policja wraz z całym swoim aparatem najnowocześniejszych badań, archiwów i narzędzi stanęła bezradna.

Alex uważał elektronikę, daktyloskopię, analizy chemiczne i wszystkie inne współczesne metody badawcze jedynie za drugorzędny czynnik przy prowadzeniu śledztwa. Był przekonany, że mord rodzi się w duszy ludzkiej i tylko tam należy nieuchronnie szukać rozwiązania. A jedynym laboratorium, mogącym nieść pomoc przy tym poszukiwaniu, był jego własny mózg. Zwykle mózg ten pozostawał sam na placu, gdy aparaty, odczynniki i badania śladów nie mogły zaskoczyć przebiegłego mordercy.

Lecz chociaż prasa całego kraju, z sędziwym „Timesem” włącznie, poświęcała mu w ostatnich latach tak wiele miejsca i chociaż sława jego stawała się powoli uniwersalna, bo interesowali się nim wszyscy, od ministrów – po duchownych i od dzieci szkolnych – po samotne staruszki, i zaczynał z wolna obrastać legendą, w której prawda pomieszana była z najfantastyczniejszymi pomysłami – to jednak panna Karolina Beacon pozostała zdumiewająco obojętna wobec tej sprawy. Znali się już od trzech lat i Joe musiał przed sobą przyznać, że co najmniej od dwóch lat myśli o niej codziennie.

Często zastanawiał się z niepokojem, czy jej obojętność wobec jego osiągnięć nie była główną przyczyną jego przywiązania i niepokoju. Co prawda przeczytała nawet kilka jego książek, ale jej spokojne pochwały wywołały w nim jedynie uczucie wstydu. Zawsze dawała mu w nieuchwytny sposób do zrozumienia, że nie uważa tego wszystkiego za podstawowe zajęcie dla kulturalnego człowieka, który już dawno pożegnał trzydziesty rok życia. Traktowała jego książki i współpracę z Parkerem jako rozrywkę, interesującą na pewno i na pewno pożyteczną, ale niepoważną.

Chociaż nigdy nie było pomiędzy nimi o tym mowy, Joe wiedział, że dłubanie w swoich przeklętych skorupkach Karolina uważa za prawdziwą pracę, a wszystko, co on robił i czym się zajmował, mogło w jej oczach wypełnić życie i wyobraźnię co najwyżej kilkunastoletniego chłopca.

A najgorsze było to, że w głębi duszy przyznawał jej absolutną słusność. Bo, wbrew pozorom, Joe Alex był człowiekiem cichym, zakochanym w dobrej poezji i dobrej muzyce, studiował dzieje kultur i mitów (z wyjątkiem Krety, oczywiście), architekturę, historię,

obyczaję i wszystko to, co stanowi widomy ślad człowieka na przestrzeni dziejów. I chociaż w pewnym sensie było mu bardzo dobrze, bo wysokie dochody pozwalały podróżować daleko i pozostawiały wiele wolnego czasu dla prywatnych studiów, to jednak zdawał sobie sprawę z groteskowości sytuacji. Ogromnej ilości zebranych wniosków i obserwacji nie zamknął nigdy w żadnej poważniejszej pracy, chociaż wiedział, że na przykład w jednej z dziedzin, którą poznał najlepiej, a którą określał „Historia Diabła na ziemi”, wie więcej niż większość specjalistów interesujących się wierzeniami i społecznym tłem nasilenia wiary w Złego Ducha podczas różnych okresów historycznych i w różnych częściach świata. Gdyby tylko na tym polu umiał uporządkować ogromną ilość swoich notatek, zdjęć i zbiorów, mogłoby powstać monumentalne dzieło, nie mające dotąd precedensu.

Ale nie umiał. Powoli zaczął się przyzwyczajać do myśli, że zawsze będzie tylko świadkiem i nigdy nie pozostawi po sobie trwałego śladu. Po prostu nie potrafił nigdy wykonać niczego, co przychodziło mu z trudem i wymagało dużego wysiłku. A może, na swoje nieszczęście, zbyt wiele zarabiał tym, co wykonywał z największą łatwością?

A przed nikim, nawet przed superintendentem Parkerem, nie przyznał się nigdy, że niemal równie łatwo przychodzi mu rozwiązywanie zagadek kryminalnych, które nasuwa życie.

Tak więc Joe Alex był sławny, popularny i bogaty, ale nie był szczęśliwy. Stojąc w tej chwili przed lustrem i zawiązując krawat myślał o Karolinie, o Grecji i o tym, że najlepiej byłoby w tej chwili rzucić wszystko, wsiąść w samolot i polecieć do niej, chociażby na kilka dni. Tych kilka dni z Karoliną pod lipcowym słońcem Śródziemnego Morza to było wszystko, czego chciał. Tęsknił za nią.

Karolina wyjechała przed miesiącem na polecenie swojego instytutu, gdy doniesiono o odkryciu pewnej liczby tabliczek w ruinach jednej ze starych twierdz kreteńskich na Peloponezie. W Atenach wynająłby samochód, potem droga nad brzegiem morza, Megara, Korynt i długi, biały szlak szeroką doliną na południe, ku górcom...

Niestety, wydawca czekał. Alex obiecał mu, że odda książkę w ciągu najbliższych dwu tygodni. A miał dopiero kilkadziesiąt początkowych stron. Nie lubił łamać przyrzeczeń. Trzeba było zostać. Ale gdyby?... Gdyby zdążył w ciągu tygodnia skończyć, wtedy mógłby... Miał przecież napisany w najdrobniejszych szczegółach plan każdego kolejnego rozdziału.

Przez chwilę stał nieruchomo, pogwizdując cicho. Potem szybko zawiązał krawat i z nagłą determinacją podszedł do telefonu. Przymknawszy oczy i starając się nie myśleć o żadnej z tysiąca przeszkód, nadał telegram do Karoliny:

„Jeżeli chcesz mnie widzieć przyjadę do ciebie na kilka dni stop potem muszę natychmiast wracać do Anglii stop oddepeszuj od razu co o tym myślisz stop bardzo tęsknię stop za widokiem Grecji stop Joe”.

Wolno położył słuchawkę na widełki. Kości były rzucone. Telegram rozpoczął swój błyskawiczny lot ponad światem. Znowu ujął słuchawkę i połączył się z biurem podróży. Zamówił miejsce w samolocie odlatującym osiemnastego. Teraz trzeba będzie wsiąść do pracy. Siedem bezsennych nocy. A potem, w ostatniej chwili, podrzuci maszynopis wydawcy jadąc na lotnisko. Musi zdążyć.

Higgins zapukał cicho i stanął w progu.

– Sir Alexander Gilburne i pan Thomas Kempt, proszę pana – powiedział podchodząc i wysuwając w stronę Alexa małą tackę, na której leżały dwie wizytówki, jedna mała i prawie kwadratowa, a druga wielka, prostokątna. Joe wziął je machinalnie, myśląc: „duża – Kempt, mała – Gilburne”. Zgadł. Położył wizytówki na biurku.

– Dziękuję, Higgins. Proszę wprowadzić tych panów do biblioteki.

Szybko włożył marynarkę, otworzył drzwi łączące gabinet z biblioteką i wszedł tam prawie w tej samej chwili, kiedy Higgins wpuścił gości z hallu.

Sir Alexander Gilburne był wysokim, szpakowatym mężczyzną, wciąż jeszcze bardzo przystojnym. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie, jak gdyby nie minął jeszcze pięćdziesiątki. Joe zarejestrował z lekkim zdumieniem, że trzyma on w ręce grubą laskę. Dopiero po sekundzie, kiedy gość zrobił krok ku przodowi, zorientował się, że sir Alexander kuleje. Spojrzał mimowolnie na jego nogę i prędko uniósł wzrok, uśmiechając się na powitanie i idąc w jego kierunku. Sławny adwokat był ułomny. Jego prawa stopa mieściła się w niemal okrągłym, zbyt krótkim bucie, wybrzuszonemu ku górze, jak gdyby poddano go wraz ze stopą jakiejś straszliwej torturze, która na zawsze zmieniła jego kształt. Ale Joe, który interesował się aberracjami fizycznymi, wiedział, że z tego rodzaju deformacją ludzie zwykle przychodzą na świat.

Uścisnął rękę wchodzącego i wskazał mu jeden z ciężkich, klubowych foteli, stojących wokół niskiego, okrągłego stolika. Potem zwrócił się w stronę drugiego gościa.

Thomas Kempt był o wiele młodszy niż Gilburne. W tej chwili mógł liczyć najwyżej trzydzieści lat, a najprawdopodobniej nie miał jeszcze nawet tyłu. Na szerokich, prostych ramionach sportowca osadzona była kształtna głowa o ciemnej, krótko przystrzyżonej czuprynie. Twarz była opalona, a niebieskie oczy, lśniące pod ciemnymi brwiami, patrzyły czujnie i spokojnie. Była to miła, inteligentna twarz o regularnych rysach i silnie zarysowanym podbródku, wzbudzająca na pierwszy rzut oka zaufanie i usposabiająca przychylnie do jej właściciela. Joe pomyślał przelotnie, że Kempt jest typem, który w dziewczynach wywołuje myśl: „Ten byłby dobrym mężem”. Solidność, odwaga i spokojna pewność siebie.

Kiedy goście usiedli, zadał sakramentalne pytanie dotyczące trunków, ale obaj poprosili tylko o wodę sodową. Pomimo zapuszczonych stor upał zaczął przedostawać się nawet do skierowanej na północ biblioteki. Po chwili pojawił się Higgins z syfonem, lodem i szczypczykami. Kiedy wyszedł, Gilburne chrząknął i spojrzał na Kempta, który rozłożył nieznacznym ruchem rękę i pochylił lekko głowę, jak gdyby dając mu do zrozumienia, że zrzeka się głosu na jego korzyść.

– Powinienem może zauważyć najpierw, że pogoda znanadto dopisała o tej porze roku i pochwalić pana doskonały smak w urządzaniu wnętrza... – powiedział adwokat – ale z tego, co o panu słyszałem, wnioskuję, że nie należy pan do ludzi, którzy kochają się w konwencjonalnych wstęпах. Może więc przejdę od razu do tego, co my w sferach prawniczych nazywamy meritum, a wy, ludzie piszący, tematem... – Urwał i z dłońmi opartymi na rękojęści trzymanej między kolanami laski zastanawiał się przez chwilę. – To bardzo trudne... – powiedział niespodziewanie z bezradnym uśmiechem. – Jesteśmy przecież dorosłymi ludźmi i żyjemy bądź co bądź w drugiej połowie dwudziestego wieku – znowu urwał.

Tym razem Joe uniósł brwi. Nie spodziewał się, że tak wytrawnemu mówcy jak Gilburne może zabraknąć słów już na wstępie.

Przez chwilę trwało milczenie. Przerwał je nie sir Alexander, lecz Kempt.

– Trudność leży w tym, Mr Alex, że tematem naszej rozmowy z panem ma być Diabeł. Nie roześmiał się przy tych słowach. Joe opuścił uniesione brwi.

– Ach, rzeczywiście? Diabeł. – W głosie jego nie zabrzmiała najmniejsza nutka zdziwienia. Pogratulował sobie w duchu.

– Tak, Diabeł – powiedział Gilburne. Alex dostrzegł, że adwokat zarumienił się nieznacznie, wymawiając ostatnie słowo. – I nie tylko, że przyszliśmy rozmawiać z panem o Diable, ale będziemy musieli przyznać się do tego, że przygnał nas lęk przed nim.

Na twarzy Alexa nie drgnął ani jeden mięsień.

– Tak często stykam się z wynikami pracy Diabła – szepnął – że w końcu musiałem trafić i na Niego samego. To zupełnie zrozumiałe.

Gilburne uśmiechnął się bezradnie.

– Wiedziałem, że nie będzie pan mógł potraktować poważnie moich słów. Ja sam nie mogę w pewien sposób traktować ich poważnie. – Westchnął cicho i rozłożył ręce. – Wiemy przecież wszyscy, że Diabła nie ma.

To humorystyczne stwierdzenie, wypowiedziane takim tonem, wcale nie zabrzmiało śmiesznie. Było w nim coś niesamowitego, jak gdyby intonacja zawierała ukryte znaczenie, które przeczyło słowom. Alex nie poruszył się.

– Chodzi tylko o to, żeby nas pan wysłuchał. Obaj słyszeliśmy o panu tak wiele, że zdamy się absolutnie na pański sąd. Jeżeli powie nam pan, że nasze opowiadanie jest absurdalne, nie obrazimy się. Przeciwnie, ja przynajmniej odetchnę z ulgą. To wszystko jest tak nonsensowne, że gdyby nie lęk...

Urwał, jak gdyby czekając, że Joe zada mu wreszcie jakieś pytanie. Lecz Alex słuchał uważnie i nie poruszył się.

– Wiemy, że może nas pan uznać za nieszkodliwych wariatów, marnotrawiących pański cenny czas, ale kiedy skończę, przyzna pan na pewno, że trudno nam było udać się z tą sprawą do policji. Z racji mojego zawodu znam wielu poważnych ludzi w Scotland Yardzie, ale nie miałbym odwagi pójść z tym do któregośkolwiek z nich. Na szczęście Thomas, to znaczy obecny tu pan Kemp, nasunął mi myśl poszukania pomocy u pana. Umówmy się więc może, że wysłucha nas pan tak, jak gdybyśmy mówili o najzwyczajniejszych sprawach, zgoda?

– Ależ oczywiście – powiedział Joe – jeżeli tylko wiara w pańskie słowa nie stanie się przeszkodą w zbawieniu mojej duszy.

Roześmiał się cicho i przyjaźnie.

– Nie sądzę – Gilburne także spróbował odpowiedzieć uśmiechem. – Przyszliśmy tu wierząc, że być może podejmie się pan roli archanioła z mieczem ognistym w karzącej dłoni. O ile istnieje ktoś, kogo miecz ten powinien ukarać. Bo i tego nie wiemy na razie. Ale może niepotrzebnie uprzedzam fakty. – Znowu namyślał się przez chwilę. – Czy słyszał pan kiedyś o Diablej Skale?

– O Diablej Skale? Chyba tak... – Joe potarł dłonią czoło, jak gdyby pragnąc rozmasować ukryte za nim szare komórki, w których pamięć nagromadziła wszystko, co wiedział o Diablej Skale. – Nie byłem tam nigdy, ale czytałem o niej... – Nagle klasnął w ręce. – Oczywiście! Miejsce leży gdzieś na pograniczu Suffolk, kilkadziesiąt mil od Londynu. Związane z procesami czarownic w szesnastym czy w siedemnastym wieku i z ich sabatami. Jest tam, zdaje się, Diabła Grota ze szczeliną, którą Diabeł wydostawał się z piekła, prawda? Interesowało mnie to kiedyś, bo zajmuję się trochę historią stosunku społeczeństw do rzeczy nadprzyrodzonych. Ten na przykład stary, wędrujący mit o wejściu do państwa podziemnego przez szczelinę w ziemi jest bardzo ciekawy. Nazywano Szatana księciem powietrza, ale od początku dziejów ludzkości mieszkał pod powierzchnią ziemi. I począwszy od Heraklesa, wszyscy wchodzili do niego przez szczeliny w grotach. Zresztą jest w tym pewna logika. Taka szczelina prowadziła w głąb i nikt nie wiedział, co jest na jej dnie i czy w ogóle istnieje dno. Poza tym z wielu szczelin wydobywały się i wydobywają opary. W Delfach też było takie miejsce w grocie. Tam właśnie siedziała Pytia. Przepraszam, że odbiegam od tematu. Ale Szatan to moje hobby. Powracając do Diablej Skali, to, o ile sobie przypominam, miejsce było egzorcyzmowane przez biskupa, ale chyba nie na wiele się to przydało, bo w sto lat później Diabła Skala nadal była uznawana za miejsce sabatów i, jak mi się wydaje, sławny Matthew Hopkins, poszukiwacz czarownic, znalazł ich kilkanaście w sąsiedniej wiosce i wszystkie zostały powieszane. Tyle mniej więcej przypominam sobie w tej chwili.

– Wioska nazywała się Norford – powiedział Kemp – i nazywa się tak nadal. Leży między Hartest a Blue Medows, na krańcu pasma wzgórz, które zamyka Diabła Skala.

– Tak – Gilburne odetchnął głęboko – to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Co? – zapytał Alex.

– To, że interesował się pan Diabłem i jego historią na terenie Anglii. Bez względu na to, do jakich pan dojdzie wniosków po usłyszeniu naszego opowiadania, jestem przekonany, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi odległymi czasami a tym, co... co się może stać. Zanim zacznę opowiadać, proszę sobie uświadomić, że w okolicy, o której mówię, wszyscy słyszeli o Diablu i jego sprawach więcej niż w jakiegokolwiek innej części kraju. Tyle tam krąży o nim podań i tyle jest miejsc związanych z nim i czarownicami, że chociaż od setek lat nikt nie bierze poważnie tego wszystkiego...

– W „Timesie” z 24 września 1863 może pan przeczytać, że pewien stary człowiek został uznany za czarownika i zlinchowany przez tłum w hrabstwie Essex. A Essex to najbardziej cywilizowany obszar naszego państwa – mruknął Alex. – Tuż pod Londynem. Ludzie rozerwali tego staruszkę na kawałki. Nie tak dawno. Minęło zaledwie jedno stulecie. Ale przepraszam bardzo, naprawdę nie chcę panu przeszkadzać, chociaż ciągle to robię.

Sir Alexander potrząsnął głową.

– Chciałem tylko dodać, że wioska Norford nie liczy w tej chwili więcej mieszkańców niż w siedemnastym wieku. Bliskość Londynu i morza zawsze powodowały szybki odpływ wszelkich zbędnych rąk do pracy. Jest to śliczna, stara wioska. Niektóre zabudowania sięgają szesnastego wieku. Prawdziwe cudo prowincjonalnej architektury. Ludzie, którzy zamieszkują te domy, są raczej spokojni i pracowici. Przystępstw nie notuje się tam prawie żadnych. Zresztą zawsze tak było. Być może dlatego, że niespokojne duchy ciągnęły w stronę morza i metropolii. Czarownic oczywiście nie ma już także od dawna. Ostatnią z tych nieszczęśliwych kobiet powieszono w 1684 roku. Pochodzę z tamtych stron i dobrze znam historię tego obszaru. Mieszkańcy zmienili się już bardzo. Są sceptyczni. Oczywiście nikt z nich za żadne skarby nie wszedłby nocą na Diabłą Skałę ani nie zbliżyłby się do wejścia do Groty, ale to już zupełnie inne zagadnienie. Znam wielu wykształconych ludzi z wielkich miast, którzy za nic nie przenocowaliby na cmentarzu, a myślę, że co najmniej dziewięćdziesiąt procent kobiet nie zrobiłoby tego na pewno, bez względu na wyznaczoną nagrodę. W sumie więc stosunek mieszkańców Norford do ich starego Diabła jest dwudziestowieczny, to znaczy obojętny. Zresztą wioska leży za lasem, już po drugiej stronie pasma kredowych wzgórz, przeciętych wąwozem, w którego stromym zboczu, prawie pośrodku, znajduje się pieczara. Można się do niej dostać tylko wzdłuż karkołomnej, wąskiej półeczki skalnej. Dlatego Grota nie jest zaznaczona w przewodnikach turystycznych. Mniej więcej nad jej otworem leży szczyt urwistej, nagiej Diabłej Skały, najwyższego punktu łańcucha wzgórz. Pod nią, w wąwozie, płynie strumień i zaraz później wąwóz kończy się, otwierając widok na szeroką równinę, ciągnącą się w stronę Cambridge i bliższego Fulbourn. Po drugiej stronie wąwozu, na podobnie stromej, chociaż nieco niższej skale stoi Norford Manor. Był tam kiedyś w trzynastym stuleciu warowny zameczek, spalony później i zrównany z ziemią podczas walk Białej Róży z Czerwoną. W roku 1600 ziemię tę kupił dworzanin starej już królowej Elżbiety, sir John Ecclestone, i na gruzach zameczku wybudował piękną, niewielką rezydencję, którą nazwał Norford Manor i zasadził przy niej park. Wkrótce po śmierci królowej opuścił dwór i zamieszkał w Norford Manor na stałe. Tam też zmarł. Dom, który był kilkakrotnie przebudowywany od tego czasu, stoi w tym samym malowniczym miejscu, gdzie ongi stał zameczek. Z trzech stron podparty jest on pionowymi prawie ścianami skalnego cypla. A naprzeciw, po drugiej stronie wąwozu, ma Diabłą Skałę i – nieomal na wysokości okien – Diabłą Grotę w jej zboczu. Park przytyka do rezydencji tylko z jednej strony i rozszerza się, opadając łagodnie ku dolinie, pośrodku której stoi mój dom – Valley House. Ecclestone’owie nadal zamieszkują Norford Manor. Ponieważ obie nasze rodziny łączyła w ciągu dwustu lat przyjaźń, więc z biegiem czasu powstała nawet pomiędzy obu domami prywatna droga, wysadzona szpalerem krzewów przez mego dziadka i przedostatniego właściciela Norford Manor. – Urwał. – Proszę mi wybaczyć, że tak wiele czasu zajmuje mi opis miejscowości, ale myślę, że w ten sposób wyjaśnię od razu kilka

spraw, które mogłyby być niejasne. Żeby usprawiedliwić moją tu obecność, chcę dodać, że podobnie jak moi przodkowie, jestem przyjacielem Ecclestone'ów.

Przy ostatnich jego słowach Joe spojrzął mimowolnie na młodego Kempta, który przysłuchiwał się słowom sir Alexandra, potakując od czasu do czasu na znak, że opis jest najzupełniej dokładny. Gilburne prawdopodobnie dostrzegł błysk zainteresowania w oczach Alexa, bo zaraz dodał:

– Pan Kempt jest dalekim krewnym Ecclestone'ów, ściśle mówiąc jest wnukiem starszej siostry Jakuba Ecclestone'a, zmarłego przed kilkunastu laty męża obecnej właścicielki, pani Elizabeth Ecclestone. Przyjeżdżał do Norford Manor jako dziecko i teraz też często tam zagląda.

– Jakub Ecclestone... – powtórzył Joe cicho. – Czyżby to był ów Jakub Ecclestone, który zrobił tak wielki majątek na Malajach w chwili, kiedy rozpoczęło się zapotrzebowanie na kauczuk?

– Tak, ten sam.

– Wdowa po nim musi być chyba bardzo zamożną osobą?

– Zapewne. – Sir Alexander z przekonaniem skinął głową. – Jest nawet bardzo bogata. Wiem o tym najlepiej, bo od lat jestem jej radcą prawnym.

– Tak. O czym to mówiliśmy? A tak, o tym, że pan Kempt także teraz tam bywa?

– Mam tam nawet swój pokój, ten sam, który miałem jako chłopiec – uśmiechnął się Thomas Kempt. – Ale nie mówmy o mnie. Ja nie gram żadnej roli w tym opowiadaniu.

– Tak... – Sir Alexander zastanowił się. – W rezydencji mieszka obecnie tylko stara pani Elizabeth Ecclestone z lekarzem, pielęgniarką i kilkoma osobami służby. Przekroczyła już obecnie siedemdziesiątkę. W ciągu ostatnich kilkunastu lat od śmierci męża niedomagała bardzo poważnie, a od mniej więcej dwu jest zupełnie sparaliżowana. Poza tym przebywa w Norford Manor jej syn, Irving Ecclestone. Ma on mieszkanie w Londynie, ale ponieważ zajmuje się pracą literacką, więc woli ten cichy dom na wsi. Prócz niego bywają tam jego córka Joan i jej mąż Nicholas Robinson. Irving Ecclestone jest w sensie ogólnym historykiem. Ale jego hobby, jak pan to podkreślił, stanowi demonologia. Na to jego upodobanie na pewno wpłynęło otoczenie w dzieciństwie. Kiedy ojciec robił fortunę na Malajach, stara pani Ecclestone mieszkała wraz z dziećmi w Norford Manor. Oczywiście Irving miał niańkę ze wsi Norford. Jej opowiadania, połączone z okoliczną scenerią, musiały chyba odcisnąć się na jego wyobraźni. Irving ma w Norford Manor kompletnie urządzoną pracownię i...

– Tak... – mruknął Alex. – Czytałem kilka jego książek. To prawdziwy autorytet.

– Z pewnością. Miewa cykliczne wykłady w Cambridge i jest uważany za eksperta historii inkwizycji. Ale dzieje Diabła na ziemi to jego podstawowa dziedzina. Lecz wracając do domowników... Irving miał jeszcze młodszą siostrę, Patrycję. Wyszła ona bardzo młodo za mąż i mieszkała z mężem w Południowej Afryce. Na początku tego roku mąż umarł i powróciła do Norford Manor. Miesiąc temu umarła... – Znowu urwał i odetchnął głęboko, ale zaraz podjął. – Żeby więc podsumować: w Norford Manor mieszka stara, sparaliżowana pani Ecclestone, wraz z nią lekarz, doktor Archibald Duke, pielęgniarka Agnes Stone i kilka osób służby. Mniej więcej pół roku spędza tam jej syn, Irving Ecclestone, a wnuczka jej (czyli jego córka) Joan Robinson wraz ze swoim mężem Nicholasem Robinsonem przyjeżdżają tam dość rzadko, zwykle wówczas, gdy Nicholas chce malować w plenerze, co mu się nieczęsto zdarza, bo jest malarzem abstrakcjonistą i w naturze poszukuje, jak mówi, tylko ruchu barw. Poza tym bywa czasem w Norford Manor tu obecny pan Kempt, który jest krewnym tej rodziny, no i ja tam zachodzę, z przyjaźni i z obowiązku, gdyż prowadząc sprawy finansowe starej pani sprawdzam także co pewien czas wydatki domowe. Ani Irving, ani Joan nie zajęłyby się takimi sprawami, nawet nie z braku chęci, ale dla zupełnej swojej nieświadomości w tej dziedzinie. Nikogo więcej się tam nie przyjmuje, a od dnia, kiedy stara pani Elizabeth została sparaliżowana, nie bywa nawet nikt z jej dawnych przyjaciół.

– Rozumiem. – Joe skinął głową. – Duży, cichy dom na odludziu, bez śladu obcego człowieka w okolicy. Sami swoi. Kiedy wspomniał pan Nicholasa Robinsona, zrozumiałem nagle, skąd biorą się w jego zadziwiających płótnach te zestawy kolorów. Tak, to bardzo ciekawe, abstrakcja oparta na barwie wsi angielskiej. To bardzo utalentowany człowiek, jak mi się wydaje. Ale pomiędzy tym, co myśli awangarda, a co odbieramy z ich obrazów my, zwykli śmiertelnicy, jest przecież tak wielka przepaść, że mogą się mylić. W każdym razie to bardzo interesujący artysta.

– Tu opinia pana zgadza się z opinią pana Kempta. Jeżeli chodzi o moją skromną osobę, przyznaję ze skruchą, że nie widzę w jego obrazach absolutnie nic, i gdybym miał być zupełnie szczery, powiedziałbym, że zapewne wyrażają one absolutną nicość. Chwilami podejrzewam, że żaden z tych nowoczesnych malarzy nie potrafiłby namalować zwykłego człowieka na zwykłym koniu, jadącego o zwykłym zachodzie słońca.

W odpowiedzi Alex uśmiechnął się z zażenowaniem, jak gdyby chciał dać do zrozumienia gościowi, że chociaż szanuje jego osobę, nie może uszanować w tym odosobnionym przypadku jego zdania.

Gilburne przymknął na chwilę oczy, a potem otworzył je i wyprostował się w fotelu. Joe z pewną ulgą wyczuł, że dopiero w tej chwili zacznie się właściwe opowiadanie.

– Otóż to wszystko nastąpiło dopiero wtedy, kiedy Patrycja powróciła po śmierci męża do Norford Manor...

Znowu zamilkł, a Joe, który przyglądał mu się teraz nie spuszczać z niego wzroku, zauważył w jego rysach nagłą zmianę. Nie umiałby jej określić, gdyż pozornie twarz nie zmieniła wyrazu. Ale przesunęło się przez nią, jak cień ciemnej chmury, odbicie jakiejś tragicznej myśli.

– Ponieważ przyszliśmy do pana po radę, a może nawet po pomoc – powiedział Gilburne cicho – moim obowiązkiem jest okazać pełną szczerość. Otóż Patrycja i ja... kiedy byliśmy młodzi... – Widać było, że mówienie o tym przychodzi mu z trudem. – Kochałem ją, a ona... Wydawało się, że nic nie stoi na przeszkodzie. Byłem o siedem lat starszy niż ona, ale wychowaliśmy się obok siebie, bo domy nasze nieomal się stykały, tam, na odludziu. I rzecz była postanowiona, kiedy ona poznała pewnego młodego oficera. Wysłała za niego za męża. Zrobiła to bardzo nagle, prawie bez namysłu, i wyjechała z nim od razu, bo jego okręt odpływał za kilka dni. Już z Capetown napisała do mnie list. Oczywiście przyjąłem to tak, jak tylko umiałem najlepiej. Była przecież młodsza niż ja, on, tamten, był zdrowym, na pewno bardzo przystojnym oficerem, a ja... – spojrzał na swoją nogę – niestety, jestem kaleką od urodzenia. Zrozumiałem ją oczywiście. Wszystko było aż banalnie proste i łatwe do wytłumaczenia. Miała osiemnaście lat. W tym wieku wiele trudnych decyzji przychodzi bardzo łatwo, a litość nad innymi nie towarzyszy tym latom. Usprawiedliwiłem więc ją w zupełności i nie czułem do niej nienawiści. Cios ten dotknął mnie jednak bardzo. Może pomógł mi w karierze, bo musiałem w czymś wyładować mój ból i próbować jakoś zapomnieć. Nie ożeniłem się w ciągu wszystkich tych lat. Wiedziałem tylko, że w rok po ślubie mąż jej zachorował na jakąś tropikalną chorobę i został zwolniony z wojska. Był chory przez wiele lat. Zdaje się, że była to pewna odmiana śpiączki. Prowadząc sprawy finansowe Ecclestone'ów byłem wtajemniczony także i w to, że stara pani Elizabeth posyła córce co miesiąc pewną sumę pieniędzy na odpowiednie utrzymanie domu. Ale Patrycja ani razu nie przyjechała do Anglii. Może była zbyt dumna, żeby pokazać nam swoje nieszczęście, bo przecież nie mogłaby go zostawić tam samego. Lata mijały i wreszcie ten człowiek umarł. Ale jakby dla udokumentowania ironii losu, stara pani Ecclestone została zupełnie sparaliżowana na kilkanaście miesięcy przed przyjazdem córki i kiedy Patrycja powróciła, nie mogły nawet porozumieć się ze sobą. Ale powróciła. Zrozumiałem już w dniu jej powrotu, że pomimo dwudziestu lat, które minęły, kocham ją nadal. Miała teraz lat trzydzieści osiem, a ja czterdzieści pięć. Odbyliśmy długą rozmowę. Była oczywiście lojalna wobec zmarłego, ale

domyślałem się, że może odeszłaby od niego wcześniej, gdyby nie jego choroba. Takie jak ona nie odchodzą w podobnej sytuacji. W końcu zrozumieliśmy oboje bardzo wiele. Postanowiliśmy się pobrać, kiedy minie okres żałoby. Nasza decyzja bardzo wszystkich ucieszyła. Widywaliśmy się codziennie. Aż wreszcie, prawie dokładnie miesiąc temu, stało się...

Zamarł na chwilę, jak gdyby zapominając, że nie jest sam i że mówi do słuchających go ludzi, a nie myśli w milczeniu. Potem, jak gdyby nagle zrozumiał, że Alex i Kempt czekają na jego dalsze słowa, oparł mocniej dłonie na lasce i podjął spokojnym, beznamyślnym głosem.

– Odprowadziłem ją do domu ze wspólnie odbytego spaceru. Potem wróciłem do siebie drogą łączącą nasze oba domy. Był wieczór, miałem trochę przygotowanej pracy, którą przywiozłem z Londynu, chcąc być o ile możności jak najbliżej Patrycji. Siedziałem przy biurku do późna w noc i zasnęłam rano. Obudził mnie telefon z Norford Manor... Joan zawiadomiła mnie, że ciotka Patrycja nie żyje. Popelniła samobójstwo u siebie w pokoju. Pokój był zamknięty na klucz. Klucz leżał przed nią na biurku. W rozbitej szklance, która wypadła z jej ręki, był cyjanek potasu. Prawdopodobnie musiała go przywieźć ze sobą z Afryki. Nie zostawiła żadnego listu. Nic zupełnie.

Alex poważnie skinął głową. W czasie gdy sir Alexander mówił, starał się odtworzyć sobie stan psychiczny samobójczyni: śmierć ukochanego mężczyzny po długiej szarpiącej jej nerwy chorobie... powrót do krainy dzieciństwa... pojawia się znowu zakochany kaleka, ten sam kaleka, którego rzuciła w młodości... Początkowo instynkt bierze górę i Patrycja pragnie pochwycić tę ostatnią szansę powrotu do życia, do świata normalnych ludzi. Ale w końcu przeważa świadomość, że już jest za późno, że nie potrafi się tak absolutnie zakłamać, że świat bez tamtego nie jest wart istnienia.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI